



GABRIELA ZAPOLSKA

---

# Papuzia

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

GABRIELA ZAPOLSKA

## Papuzia

Zagwizdaj, Papuziu!...

Minuśka porwała się z jego kolan i nagle w półcieniu, już z okien płynącym, zabieliła się jak zjawisko w swej masie białych zwiędniętych koronek i pomiętego batystu.

— Nie!... nie!... nie chcę!

Ale on, nieubłagany — wyciągnął rękę i ujął nagie ramię dziewczyny w swe suche palce nerwowego blondyna.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

— Ty wiesz, to dla mnie cholera to gwizdanie.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ton jego mowy był rozkazujący, powolny, miękki, a przecież siekący jak uderzenie szpicruty.

Dziewczyna próbowała się jeszcze opierać.

— Nie!... wolę z tobą rozmawiać!

On nieznacznie ramionami ruszył.

— Zagwizdaj, Papuziu! — powtórzył po raz czwarty.

Stalowoniebieskimi oczami spojrzął w drobną twarz Minuśki, która ledwie przeświecała przez całe kłęby pokręconych czarnych włosów.

Oczy te, jakby wieczną łzawą mgłą pociągnięte, zużyte były i dziwnie rozwiązłe.

Jakaś nabożna, dystyngowana rozpusta gnieździła się w tych źrenicach koloru dziewczęcej sukienki.

Były to oczy westalki<sup>1</sup>, powracającej ze schadzki do swej świątyni.

Teraz już Minuśka pod wpływem tego spojrzenia układała się powoli na kolanach mężczyzny, pochylając w tył głowę, tak że cała kaskada czarnych włosów spłynęła ku ziemi i kwiatów dywanu dosięgła.

I tylko biust jej biały, foremny, jakkolwiek trochę w górze spleśzczony, rozciągał silnie cienki batyst szlafroka, związanego lekko białą w pasie wstążką.

Reszta ciała zaznaczała się silnie wyraźnymi konturami i dobrze wygiętą linią od bioder odcinała się jasno od ciemnego obicia niskiej tureckiej sofy.

Z bosych stóp dziewczyny spadły małe pantofle z różowego atlasu, trochę brudne i zgniecione.

Nogi te, wyciągnięte z nieruchomością trupią, żółte były, wygięte silnie jak nogi tancerki, przecięte błękitnymi żyłami i cieniem czarnych włosów, rosnących na zgięciu palców.

W niewyraźnym mroku szarej godziny — objawiały się jak nogi kobiety zmęczonej, głupiej, nerwowej, kobiety bez silnego punktu oparcia, a mimo to dobrej, miękkiej, uległej — idącej ślepo za podmuchem losu.

Cała wreszcie postać Minuśki, wyciągniętej na strzyżonej tkaninie orientalnego mebla, miała w sobie to bierne poddanie się fatalizmowi, to opuszczenie rąk w walce z życiem, to zagaśnięcie poczucia rozkoszy, temperamentu i kapryśków kobiecych.

W nieruchomości swojej, w tej ulubionej pozie wyciągniętego w trumnie trupa — znać było dążenie bezwiedne ciała do spoczynku, a spod długich rzęs przymkniętych mięgały tylko białka oczu. Wszystko w niej dążyło i rwało się ku ziemi razem z kaskadą

Oko

<sup>1</sup>westalka — kapłanka rzymskiej bogini Westy w czasie sprawowania tej funkcji pod karą śmierci zobowiązana do zachowania dziewictwa. [przypis edytorski]

czarnych włosów, razem z fałdami białego trenu, który ją obwijał zimną draperią grobowego całunu.

Siedzący w kącie sofy mężczyzna, smukły, *correct*<sup>2</sup>, silnie wyczesany — z brodą okrągłą zmysłowego samca, opartą na sztywnych rogach lśniącego kołnierzyka, w kanciastych liniach ciała, w kolanach silnie złożonych, przypominał pozę Ozyrysa<sup>3</sup>, wciśniętego w szeroki stalowogranatowy garnitur angielskiego kroju. Nawet kurtka, szczelnie na dwa rzędy zapięta, opinała silnie pierś jak mogiłę wszystkich pragnień i porywów...

Całe ciało, długie, złożone, jakby na zawiasach, przylegało doskonale do linii i zagięć sofy prostej, twardej, równej — pomimo banalnego kształtu naśladowującego wschodnie stopy poduszek.

Tylko kolana ostrym kantem wystawały brutalnie, podnosząc silnie szewiot<sup>4</sup> spodni, które opinały długie, ledwo zaznaczone łydki, niekształtne, gubiące się bez silniejszego spadku, łydki kamiennego bożka, cisnącego się do twardej swego tronu podstawy. Całe ciało — zakończone wydłużonymi a płaskimi stopami, obutymi zimno w angielskie matowe obuwie, równe było — ostro skrajane, kanciaste, podobne do wybornie spreparowanego szkieletu, osadzonego na doskonałych zawiasach.

Tylko głowa okrągła i twarz pokryta mięsem kłóciły doskonałą harmonię dalszego rusztowania.

Był to kadhub angielskiego charta ze łbem obwisłego buldoga.

Dolna warga, trochę wilgotna i jakby niepewna, zwieszała się ku dołowi, odsłaniając dolny rząd zębów żółtych i od tytoniu szerniałych. Była to warga *viveura*<sup>5</sup>, który lata całe musiał powoli nasycać namiętności swych podrażnionych zmysłów, zamykając oczy i otwierając usta. Maską jego nieruchomej twarzy urobiła się już w takie rozprężenie bezwiedne mięśni, że choć młodość walczyła jeszcze z nałogiem, ściągając skórę ze skroni, to już cały dół twarzy, a nawet skóra pod oczami fałdowała się w bezsilne bruzdy, zmysłowe, zwierzęco-apatyczne.

Leżąca na jego kolanach kobieta miała w swej twarzy przyschnięty znów wyraz namiętności, nagle spieczonej i w ogniu strawionej. I u niej, tak jak i u niego, ciało nie harmonizowało z głową. Tors jej miał pełne i doskonale rozwinięte kobiety doszłej do szczytu siły, biodra rozłożyste i podatne miały w sobie mięsistość Hiszpanek, lecz już od silnych jeszcze ud począwszy, linia nóg zwężała się nagle, schła, drobniała brutalnie. Kończyny były słabe, anemiczne, wyschłe, obciążone trupa skórą.

Tę samą anomalię przedstawiała i ręce.

Przedramię wspaniałe, doskonale piękne, już od łokcia miało wąskość dziwną, niepewną, nieusprawiedliwioną, a same dłonie i palce, długie i kościste, z pofałdowaną na zgięciach palców skórą, zwieszały się ku ziemi jak ręce rozpaczliwie smutnego szkieletu.

Z karnacją skóry, przeświecającej przez oczka koronek i pajęczą tkaninę batystu, było to samo. Twarz blada, żółta — jakby pocętkowana sinymi podkowami, podkreślającymi przymknięte oczy i rozciągającymi się aż na silnie wyciągniętą skórę nosa, nie miała ani śladu purpury warg, które białe, wąskie, postrzępione, niknęły prawie w bladej masce.

Lecz już szyja, tracąc żółtkle tony, rozplywała się w różowawo lśniące barwie piersi lekkiej, wiosennej, młodej — mającej w sobie doskonałą miękkość pastelu.

Pod białą batystu różowa ta barwa ciemniała coraz dalej, zagłębiała się, to znów tryumfalnie przechodziła w atlasową białość na wypukłościach bioder.

To przeświecanie jutrzeńkowej barwy przez delikatny desień koronki miało w sobie czar dziwnie ponętny, niepewny, pełen tajemniczej siły doskonałej piękności kobiecego ciała.

Jakby pod cienką warstwą śniegu rozsypane liście bladioróżowej kamelii, tak migotały szmaty ciała Minuśki w obramowaniu delikatnego desenia cienkich walansjenek<sup>6</sup>.

Lecz już — coraz dalej się posuwając — różowy ton bladł, siniał, zieleniał, żółkł na kolanach dwoma plamami i do stóp się zsuwając, w trupa barwę przechodził.

<sup>2</sup>*correct* (fr.) — poprawny; tu: bez zarzutu. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*Ozyrys* — egipski bóg świata pozagrobowego, sędzia zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*szewiot* — rodzaj tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*viveur* (fr.) — osoba korzystająca z życia. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*walansjenka* — rodzaj koronki. [przypis edytorski]

Jedynie jeszcze podeszwy jakąś dziwną anomalią różowiły się lekko, trochę starte zbyt ciasnym obuwiem, zaznaczając się w przestrzeni barwniej lekką kroplą krwi, roztartą zdaje się na ich powierzchni.

Cisza była dokoła.

Cisza wielkiego miasta, które huczy w oddali, a przecież do mieszkań ludzkich hukiem tym nie wpada, pozostawiając niemal grobowy spokój tym — którzy spokoju tego pragną.

Przez białe zasłony okien słaśniała się bladobłękitna, równa — nie przecięta niczym barwa zachodzącego nad dachami domów wiosennego słońca.

Barwa ta — wsuwając się do pokoju — jak elektryczny blask wykrawała kontury banalnych mebli, porozstawianych po kątach mieszkania. Orientalna tkanina mebli mieniła się jaskrawymi plamami i żółtą pstroczną frędzli. Duże, weneckie lustro — pochylone nad sofą — prezentowało się matowoszarym kwadratem na tle trywialnego, ciemnego obicia kryjącego ściany. Po kątach, na etażerkach wykrzywiały się japońskie lalki pod parasolami, które roztaczały ciemnoszafirowe lub czarne koła prawie pod samymi rogami trochę przybrudzonego sufitu.

Pośrodku, jak ptak nagle nieruchomy, krwawiła się czerwonością szyb i stalowymi pokręconymi liniami obwodów wenecka latarnia, okapana stearyną, bielącą się na matowej płaszczyźnie podstawy.

W jednym z kątów zółcił się duży makartowski bukiet, smutny, przyprószony pyłem, z lasem aksamitnych szyszek, sterczących wśród pęku traw połamanych.

Nie froterowana, trochę brudna podłoga, pokryta zniszczonym dywanem, wystawała jasnymi plamami koło progów i okien, które krzywo się zagłębiając, znaczyły się wystającymi spoza białych zasłon blaszanymi rynienkami do zbierania rosy.

I w tej banalności zimnej, bazarowej, pretensjonalnej, wciśniętej nagle w mieszczańską klatkę ciasnych, tanim obiciem oblepionych ścian starej żydowskiej kamienicy — nie było nic z duszy kobiety zamieszkującej te ściany.

Minuśka była ptakiem wędrownym i o klatkę nie dbała.

Przez uchylone drzwi dostrzec można było nie posłane łóżko — rozkopane, rozrzucone, w nieładzie jeszcze nocnym, ciemniejące pod stosem zrzuconych sukien i kołder.

Okno, przysłonięte szelwnie szafirową zasłoną, nadawało całemu pokojowi pozór grobowej kaplicy.

Reszta tonęła w cieniu.

Tymczasem w saloniku błękitne światło okien zaczęło stopniowo szarzeć i bielić, jakby przez matowe a brudne szkło przepuszczone.

Dwie białe takie smugi — jak charty potworne przypadły do podłogi, słały się po dywanie i ginęły w oddali, tuż pod stopami nieruchomie siedzącego mężczyzny.

Końce palców u ręki Minuśki, zwieszającej się z sofy, maczały się w tej martwej jasności i żółkłe paznokcie, pocętkowane białymi plamkami, zdawały się być płatami tajemniczych nenufarów, z tafli stygnącej wody wyzierających.

Dziewczyna przymykała powieki i z przechyloną w tył głową zdawała się tężyć w jakimś odrętwieniu.

Lecz młody mężczyzna szarpnął ją znów za ramię.

— Zagwizdaj, Papuziu!

Dziewczyna westchnęła i cicho — powoli, jakby płynąc z oddali, rozległ się drżący menuet, gwizdany jakby dziobem papugi, niepewnie w dal rzucającej nuty.

To Minuśka gwizdała, leżąc ciągle przechylona, nieruchoma w obramowaniu swych czarnych włosów, które się z przepychem po dywanie wałały.

Mężczyzna, zmrużywszy oczy, w gwizd ten się wsłuchiwał z dziwnym wyrazem koło ust obwisłych. Nareszcie rękę wyciągnął i zimnymi palcami po oczach Minuśki przesunął.

— Nie płaczesz? — zapytał.

Ona gwizdać przestała, brwi marszcząc.

— Cóż u diabła, co dzień nie mogę!

— Postaraj się!...

\*

Poznał ją w Łodzi, w sali Selina, gdy złym akcentem francuskim śpiewała jakąś piosnkę.

W podrabianej tej Francuzce odczuł od razu łatwą i tanią zabawę i gdy otulona płaszczykiem zeszła z estrady do pustej i białej od gazu<sup>7</sup> sali, zbliżył się, wiecznie nienasycony w tej pogoni za kobietą, jakkolwiek od dawna już nie doświadczał nic w dotknięciu nagich ramion lub rozwianych włosów.

Przez nałóg, przez przyzwyczajenie szedł już teraz, zaczepiał, wyciągał rękę, ciągle spragniony gorętszego wrażenia, czegoś, co by nim targnęło, co by zamieranie w nim rozkoszy wstrzymało choćby na krótką chwilę.

Minuska nie zajęła go więcej od innych.

Była zepsuta, wesoła, pustą i trywialną.

Mówiła „psiakrew”, biła się po biodrach, pokazywała Żydom na ulicach język i klóciła się w restauracji z kelnerami.

Nie różniła się niczym od innych kobiet i drażniła w nim zamierającego trupa, lecz drażniła niemile, w bolesny, dokuczliwy sposób.

Przez kilka dni, które bawił<sup>8</sup> w Łodzi, widywał ją codziennie, coraz więcej<sup>9</sup> zniechęcony i pólsenny.

Dziewczyna, sądząc, że śmiechem i żartami zdoła rozchmurzyć to znużone czoło, rozstrząsała przed nim całą torbę swych dowcipów, pozbieranych w chwilowych miłostkach, które prowadziła w swym życiu.

Lecz on — ciągle milczący, zimny, kanciasty, siedział przed nią, wpatrzony w przestrzeń szklannymi oczyma trupa.

Chwilami ramionami wzruszał i mówił jedno tylko słowo:

— Cicho!

Dziewczyna milkła, zdjęta nagle jakąś trwogą przed tą ciszą nakazaną jej w ciasnej przestrzeni zasłoniętej łożki, poza której czerwonymi firankami widać było jasną przestrzeń sali i ciemny otwór sceny.

Raz jeden ośmieliła się powiedzieć:

— To głupie takie postępowanie!

I uzbrajając się w odwagę, dodała:

— Funta kłaków niewarte!

On tymczasem patrzył na nią, skąpaną w jasnej powodzi gazu, płonącego w stłuczonej bani, zawieszanej u sufitu łożki.

Kłęczała przed nim na małej sofce, obitej ciemną brokatelą, i podniósłszy obnażone ręce, wiązała swe czarne włosy długą białą wstążką.

Była dnia tego ubrana już do pantomimy, mającej kończyć przedstawienie, a w której grać miała rolę panny młodej.

Długa, biała muslinowa suknia, natykana kwieciem pomarańczowym, dawała jej pozór umarłej dziewczycy, którą lada chwila złożą na śmiertelnej pościeli. Twarz jeszcze nie ubielona, żółta była i martwa w tej białej koronek powodzi.

Opierała się biodrem o stół nakryty białym obrusem, na którym walały się resztki kanapek i kieliszki koniaku.

Związała włosy i powoli, z pewnym leniwym wdziękiem na poduszki sofy upadła.

— Funta kłaków niewarte! — powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

Spoza uchylającej się firanki dolatywał przenikliwy głos dziewczyny, śpiewającej na scenie drżącym sopranem:

*Demande aux lys, s'ils aiment la rosée*<sup>10</sup>.

On ciągle patrzył na nią, dziwiąc się i zazdroszcząc tej żywotnej sile, która kazała jej poruszać się, śmiać, denerwować i wyrzucać z siebie całą kaskadę słów i chęci.

Wiecznie i ciągle od pewnego czasu obserwował tak wszystkich, sam ciągle bezsilny, pełen przewidyń, halucynacji, widząc koniec wszystkiego, nie mogąc zbudzić się z odrętwienia zmysłów, w jakie popadał z dniem każdym.

<sup>7</sup>od gazu — mowa o gazowym oświetleniu. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>więcej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Demande aux lys, s'ils aiment la rosée* (fr.) — zapytaj lilii, czy lubią rosę. [przypis edytorski]

Ogarniał go smutek bezdeny, z którego sobie sprawy zdać nie umiał, szukając w złym trawieniu przyczyny głównej tej zmiany, podniecając się fizycznie i moralnie, pragnąc rozpaczliwie wyjścia z tej nicości, w którą powoli zapadał.

Spełniał automatycznie funkcje swego urzędowania w jednym z towarzystw kredytowych, lecz nocami, wybladły i z galką swej laski przy ustach, zjawiał się, jak mara błada i milcząca, z niemą skargą na swój zgon duchowy, w zadymionych lokalach restauracyjnych, w ochryplych salach koncertowych, w zaułkach nocnej rozpusty — goniąc coś ciągle, w milczeniu szukając, trawiąc się, stygnąc od wnętrza.

Bezwiednie lgnął do kobiet, jakby w nich szukając odrodzenia, lecz — te, do których miał przystęp łatwy i z góry zapewniony — wstrząsały nim swym śmiechem, banalną pieszczotą i coraz ciemniejsze koło tworzyły dokoła jego osoby.

Od czasu do czasu opowiadały mu historię swego życia, zaczynając się niezmiennie od tych słów:

„Nie miałam jeszcze piętnastu lat i byłam zupełnie głupia, a tu...”

Słuchał chwilę, sądząc, że coś się tam przewinie, co mu rysę w jego lodowej powłoce uczyni — lecz prędko myśl w inną stronę odwracał.

Zawsze to samo!

Jedna historia w milionowym wydaniu!

Minuśka przecież nie opowiedziała mu swej „historii”.

Była banalną, trywialną jak inne — mówiła mu „mój kiziu” — i jadła rybę nożem, ale „historii” swej nie opowiedziała do tej chwili.

Nie opowiedziała i nie opowie — bo oto on wyjeżdża jutro i ma jej właśnie to powiedzieć za chwilę, skoro tylko tamta spoza zasłony śpiewać przestanie.

Doszedł już do tego stopnia osłabienia i rozdrażnienia, że nie umie i nie lubi mówić, gdy kto śpiewa.

Tymczasem Minuśka nalewa sobie kieliszek koniaku.

— Wiecznie pan jesteś smutny jak sum — mówi, pijąc fałszowaną ohydę powoli, jakby z rozkoszą — dobrze, że masz na smucenie się, to jeszcze pół szczęścia!

Odstawia kieliszek i znów wciska się w poduszki sofki.

— Może to i taka moda być na smutno — ciągnie dalej, rurkując falbinki sukni na palcach — znałam jednego pana od wyścigów, także się tak wiecznie gryzł i dręczył. Podobno coś kiedyś tam komuś ukradł, to go jadło!...

Roześmiała się głośno i zastanowiła chwilę.

— No, to już było przez sumienie. Prawda? Ale pan? Co ci to brak!... Mój Boże! Żeby to mnie panem być! Czy by ja kiedy się zasępiła, co?

Poza zasłoną śpiewaczka umilkła i z sali dolatywał szmer pomieszanych głosów, odsuwanie krzeseł i szcęk kufli rozstawionych na stołach.

— Masz pan co jeść, gdzie mieszkać, masz pewnie rodzinę, ojca, matkę, a może i żonę — a takiś pan skwaszony ciągle. Nie powiem, żeby to ja, co jak ten psiak bez gniazda po świecie się tyram i już z rozpacy do Francuzów przystałam i oto się Falfandierowej wysługuję. Psiakrew! Dobrze, że mnie trochę po francusku nauczyli, to i co zarobię na to marne życie... oj! marne!

Znów po kieliszek sięgnęła, z butelki naleła, wypila.

W pół drogi ręka jej w fałdy sukni opadła.

Była już na wpół pijaną.

— Psiakrew! — powtórzyła raz jeszcze i głowę w tył przechyliła.

Ktoś drzwi w sali otworzył.

Gaz w kuli zaczął migotać, chyląc się na obie strony.

Rozpaczliwy jakiś smutek wypełnił małą przestrzeń łóżki, jakaś grobowa pustka pomimo tłumy poruszającego się poza firanką.

Mężczyzna w swej automatycznej sztywności zastygł, siedział nieporuszony w kącie sofy, zdając się wydzielać z siebie ten chłód trupi i mrozić nim ożywioną jeszcze niedawno dziewczynę.

Teraz było ich dwoje smutnych, nie mających dachu ponad duszą.

I Minuśka czerniała, żółkła, pozbywając się swej maski sztucznego uśmiechu, odsłaniając nagle swój szkielet już próchniejący nieszczęśliwej, walczącej z życiem istoty.

Leżała nieruchoma, z rękami obwisłymi, z ustami opuszczonymi w kącikach bolesnym skrzywieniem. Nagle wargi ściągnęła nerwowym skurczem i lekko, i cicho gwizdać zaczęła.

Był to gawot<sup>11</sup> popularny, łatwy do pochwylenia i ciągnący się cicho jak srebrna nitka pajęczna.

W rozkołysaniu się gazu gwizd ten leciuchny motał się z przejrzystością dokładną, wznosił się, opadał i znów rozpoczynał.

Nagle umilkł, rozpluwając się w urywanej nutce. Chwileczkę trwało milczenie.

Przerwał je ochryply nieco głos Minuśki:

— Pan wiesz, ja miałam dziecko!

Mężczyzna nie drgnął nawet, nie odpowiedział ani słowa.

Przygasłe oczy skierował jednak na leżącą kobietę, bo czuł, że ma w niej trochę odbicia swego smutku, swego zniechęcenia.

Wiedział, że się nie krzywi uśmiechem.

Oddychał.

— Miałam dziecko! A jakże! Jak anioła taką dziewczynkę! Żebyś ją pan był widział no — co to opowiadać! Królowna! Włosy czarne, oczy szafirowe — buzia maluchna. A mądra, a ucieszna. W dziesięcioro się krajałam, aby jej nic nie brakło! Pan nie ma dzieci?

Nie było odpowiedzi.

— Nie ma pan? Dobrze pan robi. Dzieci to wielka radość, ale co też to za smutek! Serce ledwo nie trzaśnie, jak to ginie! Psiakrew... co to za urządzenie na świecie!... miała na imię Maryśka! Ja ją nazywałam Marychna. To ładnie, prawda? Mówiła już, chodziła, łydki miała grube, tak że ją tylko w skarpetki ubierać można było! I co pan powie! W trzy dni — ani się obejrzałam, już było po niej! słyszy pan!... po niej!...

Oboje siedzieli ciągle nieruchomo w obu kątach sof, ona przechylona, z twarzą ginącą w tym skróceniu. Tylko podbródek drgał jej nerwowo, jak u kobiet bliskich płaczu.

— Nazywała mnie... Papuzią. A to stąd, widzi pan, poszło: Posłyszała kiedyś pod balkonem na ulicy gwizdzącą papugę. Odejść nie chciała. Wzięłam ją na ręce i gwizdałam jej w uszko przez całą drogę. Później... ciągle prosiła — gwizdaj, Papuziu! Ja gwizdałam! Ach Boże!... ja gwizdałam!

Porwała się nagle, jakby ocucona.

— Ja pana nudzę, co? Pan i tak smutny!

Lecz on rękę wyciągnął.

— Proszę, mów dalej!... proszę!...

Jakiś cień uśmiechu przewinął się nawet koło jego warg pobladyłych.

Od tej nagle otwierającej się przed nim rany macierzyństwa, w rozpustnym otoczeniu zamkniętej łożki tingel-tanglu<sup>12</sup>, płynęło ku niemu powolne uspokojenie i łagodne uczucie ledwo dostrzegalnego ciepła.

— Bo to, widzi pan, mężczyźni nie lubią, skoro się im o takich rzeczach mówi. Tylko pan jakiś inny od wszystkich. Może to pana i bawi.

Westchnęła, znów głowę przechyliła na poręcz sofki i oczy zmrużyła.

— Widzi pan, to było dziecko takie... no, pan wie! Ot takie, bez ojca. Więc to się chowało nie u mnie, ale ja zawsze co dnia przybiegałam, na ręce schwyciłam, wycalowałam gdzie mogłam. Jak już nic jej przynieść nie miałam, to choć pogwizdać przyszłam, a mała się już od progu rwała i piszcziała: „Gwizdaj, Papuziu! gwizdaj!...” Było to uciechy! Cholera muzykalna była! W dziadka się wdała!...

Urwała, jakby przerażona zdradzeniem cienia tajemnic swego pochodzenia.

— No, i kiedy przyszła ta ciężka godzina, że ją śmiertelna choroba schwyciła — ja po doktorów z gołą głową latałam po nocy, w aptekach dzwonki urywałam. Raz mnie stójkowy<sup>13</sup> mało do cyrkułu<sup>14</sup> nie zwłókł... Co pan chce! Dla dziecka to się w ogień skoczy! Nie pomogło! Chudła, sztywniała — i już tylko na rękach nosić ją trzeba było

Dziecko

<sup>11</sup>gawot — taniec starofrancuski. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>tingel-tangel (daw.) — drugorzędna kawiarnia, kabaret. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>stójkowy — policjant w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>cyrkuł — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

dniem i nocą. Ja też nosiłam i jeszcze tylko to gwizdanie mogło ją uspokoić na trochę, na krótko! I ja też gwizdałam! Łzy mi jak groch leciały!... ale nosiłam i gwizdałam!

Umilkła i spod przysłoniętych rzęs zamigotały nagle dwie lśniące krople łez, po czym z pochylonej w tył głowy spływały po skroniach, mocząc silnie pęki fryzowanej grzywy.

— I wiesz pan co? Umarła mi na rękach wtedy, kiedy chodziłam z nią po pokoju i gwizdałam jej cichutko, cichuteńko — prawie w samo uszko. Późno było, świeca się dopalała, w kącie chrapała kobieta, u której ona się chowała. Ja chodziłam bosą, żeby nie wstrząsać rękami, gwizdę — ona oddycha, raz, drugi oczki otworzyła — sina obrączka naokoło ust się rysuje. Jezus Maria! Myślę sobie — dziecko!... gwizdę wciąż — ona już nie oddycha, ja głowę tracę... i ludzie mnie znaleźli z dzieckiem na ręku, ciągle po pokoju chodzącą. Podobno nawet jeszcze gwizdałam!... Co pan chcesz!... Dostałam bzika. Nie miałam nic mego... ją jedną!... Oprzytomniałam później i czasem, kiedy sama jestem mówię, sobie: zagwizdaj, Papuziu!... gwizdę!... i płacę!

Rozpuszczoną masą włosów otarła strumień łez płynący jej z oczów.

— Przepraszam pana — wykrztusiła wśród łkań — ja zaraz przestanę beczeć, to już... taki cholerny narów... ja zaraz będę... wesoła!...

Lecz on — zbliżył się ku niej teraz i wyciągając ręce przyciągnął ją ku sobie.

W geście tym nie było śladu współczucia dla jej cierpienia, był tylko jakiś sybarytyzm<sup>15</sup> dziwny, rozsmakowanie się w gorącości łez i w spazmatycznym skurczu wstrząsającym piersi kobiety.

Melancholiczne zwierzę zbudziło się w nim i brutalnie, bezczelnie domagało się praw swoich.

Sentymentalny samiec wyciągnął trupią rękę i na ranie serca kobiety-matki położył.

Obwisła warga zadrgała mu rozkosznie.

Oczy pokryła biała, wilgotna mgła.

\*

I od tej chwili żyli razem, we dwoje — schowani w kącie oddalonej ulicy, w mieszkaniu, które on urządził z banalnym komfortem biurowego parweniusza<sup>16</sup>. Wszystko naokoło nich było martwe, trupie, wystygłe.

Dziewczyna z początku rwała się jeszcze do życia, walcząc z resztkami temperamentu.

Wprędce jednak ciało zniszczone latami przymusowej rozpusty — zapragnęło grobowego spoczynku.

Za ciałem poszedł duch.

Minuśka zamierała wśród strzyżonej tkaniny mebli i zakurzonych parasoli, włócząc po otomanie swe bezsilne członki anemicznej kobiety.

On — tryumfował, kąpiąc się teraz w tej cmentarnej atmosferze, którą włóczył w fałdach swej kurtki, ciągle milczący, ponury, ziejący niczym nie usprawiedliwioną rozpaczą, zwłaszcza w chwilach wiosennego rozkwitu.

Czasem tylko dziewczyna wyrzuciła jeszcze z siebie „psiakrew” — zebrane z ust towarzyszek łatwej zabawy i ciężkiej pracy, i słowo to jak uderzenie szpicruty przecinało powietrze.

Lecz on, nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte usta szeptał:

— Cicho!...

Kobieta milkła i siedzieli tak oboje w milczeniu, w rozpaczliwej melancholii dwojga zamierających organizmów, skutych ze sobą — ona, rozpamiętując swą przeszłość, on — pławiąc się w lubieżności smutku i o trumny potrącającego wspomnienia.

I gdy jasnoblękitne światło od okien płynące z szarego tonu zmieniało się w złotorudy blask wycinający kontury mebli, a coraz dalej ku głębi pokoju rozplýwało się w czarniawoszafirowym cieniu — on pochylał się nad martwiejącą w trupiej pozie dziewczyną.

— Zagwizdaj, Papuziu!...

Ona gwizdała, z początku niechętnie, potem coraz więcej zatapiając się w cichej nutce melodii.

<sup>15</sup>sybarytyzm — rozmiłowanie w przyjemnościach życia. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>parweniusz (z fr.) — człowiek, który dorobił się majątku i nieumiejętnie naśladuje klasy wyższe. [przypis edytorski]



Trup dziecka wyschły, zżółkły, biedny — zjawiał się przed nią w przepotę swego nieprawego pochodzenia, wspaniałą bezimiennością swoją, doskonałą w zrodzeniu z miłosnego tchnienia. Trup ten zimniał, sztywniał — tuż przy jej piersi — przy jej łonie, które go stworzyło, i gniótl jej ciało straszonym ciężarem nieżyjącego potwora.

I wtedy cała fala łez lała się z czarnych oczu kobiety i po przechylonej w tył głowie ku masie pokręconej grzywy spływała...

Tymczasem mężczyzna trupie swe palce w kaskadzie tych łez maczał i leniwym głosem sentymentalnie powtarzał:

— Zagwizdaj, Papuziu!...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-papuzia>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Nowele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1958.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: [duponddupont@Flickr](mailto:duponddupont@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).